

Dwie „Piękne Lucyndy”

Marian Hemar napisał „Piękną Lucyndę” na 200-lecie Teatru Narodowego, jako swego rodzaju hołd z oddali dla teatru przy ulicy Królewskiej w Warszawie. Hemarowski hołd, jak zawsze, dowcipny i doskonały literacko. Cóż więc może być lepszego niż nawiązanie do pierwszej polskiej komedii wystawionej na otwarcie sceny narodowej, do

Anna Wołek

nawet kilkanaście. Według „świadków historii” Włada Majewska „przeszła samą siebie”. Jej piosenki „Kobieta się waha” i „Namiętna wdówka” stały się od razu przebojami emigracji. A scena poprzedzająca tę ostatnią pio-

trzymany na trochę już starzej taśmie magnetofonowej. „Lucynda” Hemara była stylowa, w konwencji wystawienia absolutnie zgodna z epoką. Piękne stroje (T. Orłowicz), dystyngowane muzy, spokojna muzyka. Była taka jak ją widział w swojej wyobraźni sam Marian Hemar.

Przez ponad ćwierć wieku było to jedyne wystawienie tej sztuki Hemara. Kiedy nagle przestał on być w Polsce „autorem nieznanym”, kiedy już można było podawać jego nazwisko zamiast gwiazdek, kiedy okazało się, że takie piosenki jak „Białe bzy”, „Ulica Niecała”, czy „To ta pierwsza miłość”, to on właśnie napisał, zaczął się prawdziwy festiwal jego sztuk. Najpierw było widowisko muzyczne „Hemar” w układzie W. Młynarskiego przygotowane przez Warszawski Teatr Ateneum, potem wystawiono „Firmę”, „Karię Alfego Omegi” i jednoaktówki. A kiedy w listopadzie ubiegłego roku Uniwersytet w Poznaniu zorganizował pierwsze dni teatru i dramatu emigracyjnego prof. Dobrochna Ratajczakowa zaproponowała, by na ich uświetnienie wystawić „Lucyndę”. Podjął się tego poznański „Teatr Nowy” w reżyserii Eugeniusza Korina.

„Lucynda” poznańska jest „L”inna. Co jest oczywiste. Bo przecież jest inny reżyser, inni aktorzy, inny temperament wszystkich w spektakl zaangażowanych. Korinowska Lucynda jest współczesna, grana trochę z przymrużeniem oka, z wykorzystaniem możliwości technicznych dzisiejszego teatru. Muzy nie schodzą z Olimpu, muzy mają takie same problemy jak my — ludzie. Jest im



Hemarowska Lucynda w Ognisku Polskim w roku 1967

„Natręć” Józefa Bielawskiego, na której oparta jest hemarowska „Lucynda”. Ale, co jest oczywiste w przypadku tak wielkiego artysty-pisarza jak Hemar, nie była to zwykła przeróbka. Hemar wywyczerwał lekką i zabawną komedię muzyczną, z muzyką własnej kompozycji.

W „Pięknej Lucyndzie” przemówili „Natręci” w nowej, powiewnej szacie utkanej przez Mariana Hemara. Niczym *Wenus z pian morskich* — wyjął Hemar „piękną Lucyndę” z muszli zwietrzałych wierszy Bielawskiego i opowiedział jej historię — własnym słowem zdobnym w dowcip, finezyjny żart i lekką jak pianka piosenkę — tak pisał Leopold Kielanowski w programie do spektaklu.

Hemar autor powierzył reżyserię sztuki znakomitemu Hemarowi reżyserowi. Natomiast scenografia była zasługą jednej ze wschodzących gwiazd przedwojennego teatru Tadeusza Orłowicza. Na maleńkiej scenie Ogniska Polskiego wyczerwał on nie tylko piękne wnętrza, i pałac w Łazienkach, ale nawet jadącą aleją karetę. Jak wspominają ci, co przedstawienie oglądali, te cuda scenografii co wieczora wywoływały burzę oklasków. Aktorów też miał Hemar znakomitych. Włada Majewska grała ciotkę, Henryk Vogelfaenger (słynny Tońko z *Wesołej Lwowskiej Fali*) Podkomorzego Faworskiego. A towarzyszyli im: Helena Kitajewicz, Krystyna Podleska, Irena Delmar, Roman Ratschka, Stanisław Zięciakiewicz, Wiesław Skoczylas, Ryszard Orłowski, akompaniament tria muzycznego prowadziła jak zawsze niezawodna Marysia Druce.

Kiedy Marian Hemar pisał „Lucyndę” wiedział, że dwie najważniejsze role utrzymujące ciężar fabuły i balans dowcipu zagrają Włada Majewska (jako ciotka) i Henryk Vogelfaenger (Faworski). Znow warto powołać się na tych, którzy przedstawienie oglądali i to nie raz, a kilka, czy

senkę, w której jedząc spokojnie czekoladki ciotka opowiada Faworskiemu co go czeka, gdy się ożeni z Lucyndą — do dziś jeszcze wzbudza śmiech tych, co to widzieli.

Zresztą oddajmy głos aktorce, która tak to wspomina: *Wszystkim się podobała nasza scena z Tońkiem. Tońko robił takie śmieszne miny, gestykulacje, że i mnie rozbawiał. Po prostu „Lucynda” była sukcesem, bo my wszyscy na scenie świetnie się tym przedstawieniem bawiliśmy.*



Teatr Nowy z Poznania z „Piękną Lucyndą” w reż. E. Korina

„Lucyndę” grano 150 razy, co jak na warunki emigracyjne jest wydarzeniem wyjątkowym. Można ją było grać i jeszcze drugie tyle, ale jedna z aktorek musiała nagle wyjechać. A ostatni spektakl „Lucyndy” był niezwykły, bowiem w zastępstwie chorego Tońka rolę Faworskiego zagrał sam Marian Hemar. W jego archiwum zachował się zapis magnetofonowy tego wieczoru. I niestety jest to jedyny dokument utrwalający emigracyjną „Lucyndę”, albowiem nikt nie nakręcił filmu z przedstawienia. Nam pozostały tylko fotografie, wspomnienia widzów i aktorów, a także ów kruchy ślad, głos za-

zimno, nie mają co na siebie włożyć. A swą nadprzyrodzoną moc wykorzystują za pomocą zabawnych akrobacji na trapezie.

Aranżacje muzyczne też są współczesne. To trochę jakby muzyka pop. Co oczywiście wcale nie znaczy, że gorsze niż pierwowzór. Jedno jest pewne, poznański spektakl nic nie uронił z błyskotliwości hemarowskiego dowcipu. Podobnie z piosenkami. „Namiętna wdówka” w stylu pop jest dalej zabawną tak jak była kiedyś. Jest też bardziej bliska współczesnej widowni, a publiczność na premierze krajowej, na której byłam — bawiła się znakomicie!